



*Józef Weyssenhoff*

# Noc i świt

Józef Weyssenhoff

# **Noc i świt**

Armoryka  
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce obraz wygenerowany przez dreamstudio.stability.ai

Tekst wg edycji 1924.  
Zachowano oryginalną pisownię.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka  
ul. Krucza 16  
27-600 Sandomierz  
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-244-7

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## 1.

Upalny dzień skonał już na niebie zamroczonym, gwiazdolitem, z którego chłodek dobroczynny spływał szerokim tchnieniem na ogród, wdzierał się powiewem, zaprawnym różami, na otwartą werendę domu dyrektora fabryki żelaza w Rudnikach. Jeszcze mury, nagrzane jak piece, wysyłały swe stygnące żary naprzeciw świeżości ogrodu. To też Dominik Gimbut, dyrektor, i jego żona odsunęli się od murów ku poręczy werendy, pijąc pachnące nektary ogrodowe. Twarz Gimbuta spracowana, ale pełna jeszcze męskiej siły, powlekała się błogością wypoczynku i spokojnego sumienia. Usadowiony wygodnie, przechylony ku ciemnościom ogrodowym, zamykał raz po raz oczy, jakby zamierzał przespać tę noc kojącą pod otwartym niebem. Pani Adela, bardziej obca spoczynkowi, wachlowała się nerwowo wielkim liściem arystolochji i w promieniu lampy elektrycznej przeglądała francuski dziennik mód. Rozluźniła gorset, przestała pilnować układu postaci paradnego, który był jej właściwy; poruszane tchnieniem ogrodu włosy chwiały się około twarzy pięknej jeszcze blondynki, która jednak zmagала się już z wiekiem dojrzałym. Oczyma nadnaturalnie ocienionemi odbiegała raz po raz od dziennika, spoglądając to w ogród, to w kąat werendy, jakby szukała świeżych i miłych wspomnień. Nareszcie przypomniała o obecności męża.

— Patrz, Domciu, jaka śliczna toaleta sezonowa. Dobrzeby mi w tem było?  
— powiedz.

— Aha... — mruknął Gimbut, spoglądając leniwie na rysunek oświetlony na pokaz przez żonę.

— Ty się wcale nie interesujesz moją toaletą!

— Aż nadto piękna jesteś.

— Jakto? co to ma znaczyć?

— At tak... powiedziało się.

Zamilkł. Ale energiczna Radomianka nie pozwoliła się zbyć paru zagadkowemi słowami drzemiącemu Litwinowi.

— To pewnie krytyka?

— Gdzie tam! Znasz mój gust, Adelciu: kobieta kiedy piękna, im skromniej ubrana, tem piękniejsza.

Jejmość wzruszeniem ramion i pogardliwym prychnięciem wyraziła niesmak.

— Z tobą gadać o estetyce! Strój kobiecy to też estetyka. Więc cóż to znaczy,

żem ja niby... zanadto piękna?

Teraz w Litwinie obudziła się chęć do repliki:

— Chcesz wiedzieć? — powiem. Wiesz, że nie skąpię. Rób sobie tę suknię, choć jutro. Chciałem tylko zwrócić uwagę, że stroisz się bardziej, niż potrzeba w naszym skromnym domu. Nikt się tak nie ubiera w całej okolicy — nawet u Linowskich w Inogórze. U nas modestja, moja droga. Ot zobaczysz: Zosia Czadowska przywiezie nie więcej, jak dwie sukienki.

— Cóż mnie to obchodzi? Panna Czadowska może sobie chodzić zawsze w tym samym czarnym futerale. Nie mam wcale ochoty do jej naśladowania.

Umilkli, nie dogadawszy się do niczego, jak pospolicie bywa po piętnastoletnim pożyciu małżeńskim. Gimbutowie byli stadłem nie pokłóconem, ale zrezygnowanem. Pani Adela wiedziała nadto, że Dominik jest dobrym mężem, mocnym i wydajnym pracownikiem, i że spierać się nie lubi; skoro zaś przechodzi ze swej uśmiechniętej dobroduszości do kategoriycznych objaśnień, bywa czasem niepokojący; nie jest zazdrosny, jak Otello, ani pod żadnym względem drapieżny, ale jego sumienność i techniczna, inżynierska iście planowość w działaniach mogłaby doprowadzić mocniejszą zwadę do jakichś konsekwencji zbyt radykalnych. Pani Adela zaś była naogół zadowolona z męża, choć go nie miała bynajmniej za cel, raczej za sposób życia.

Dzisiejsze dosiadywanie późnej nocy na werendzie wynikało ze wspólnego obowiązku małżonków względem gości. Dwaj zaproszeni tu na lato literaci spędzali dziś wieczór poza dworkiem dyrektora. Oczekiwano zaś w nocy przyjazdu pary nowych gości: Tadeusza Sworskiego i Zofji Czadowskiej. Wypadało ich przyjąć osobiście i dlatego dyrektor z żoną siedzieli we dwoje na werendzie.

Biły dalsze godziny nocy inaczej tętniące w nerwach i umysłach dwojga istot bliskich w przestrzeni, ale osamotnionych w głównych kierunkach pragnień. Przedłużone oczekiwanie zewnętrznego zdarzenia wywołało znowu rozmowę.

— Spóźniają się chyba? — Spójrz, Domciu, na zegarek.

— Pierwsza — jeszcze pociąg nie doszedł do stacji.

— Aha — zapomniałam ci powiedzieć: urządziłam dla Sworskiego i Czadowskiej te dwa pokoje obok, na piętrze. Innych już nie mamy wolnych.

— I pięknie.

Po chwili dyrektorowa odezwała się ze złośliwym ożywieniem:

— Nigdy zrozumieć nie mogłam, czym oni są jedno dla drugiego. Ta święta panna Zofja kochała się przed laty w jakimś starym...? Teraz spotyka się ją ciągle ze Sworskim, który przecie wygląda jeszcze wcale dziarsko — i nikt nic temu nie ma do zarzucenia, kiedy o innych najlżejszych pozorach zaraz opowiadają niestworzone bajki.

— Zależy to, widać, od charakterów i opinii osób, o których mowa — odrzekł Gimbut.

— A cóż to? czy oni oboje mają opinię... niezdolnych do miłości? — parsknęła fałszywym śmiechem pani Adela.

— Et zostaw! — Mówiliśmy już o tem, więc wiesz, że Tadeusz i panna Zofja krewni, towarzysze z więzienia, współpracownicy różnych robót ideowych. Cóż w tem dziwnego, że trzymają się razem?

— Dlaczegoż zatem nie pobrali się? Są oboje wolni.

— Nie zapytałem o to nawet Tadeusza, serdecznego przyjaciela, ani pannę Zofję, którą znam też oddawna i poważam. Nie wdzieram się w cudze uczucia, gdy mi ich nie wyznają.

— Tu masz słuszość, Domciu.

Chociaż skwapliwie przyznała tę zasadę, pożyteczną na wszelki przypadek, pani Adela nie chciała przerwać rozmowy, zajmującej ją z innych względów. Po chwili znowu zaczęła:

— Czy ona jeszcze piękna?

— Widziałas ją przecie w zimie, w Warszawie. Dla mnie ona piękna — i szlachetnie piękna.

— Tak... ale pół roku życia może przynieść duże zmiany w tym wieku kobiety...

— W każdym razie młodsza jest od nas — rozśmiał się Gimbut.

— Od ciebie z pewnością. Ale ode mnie? — poczekaj... kiedy ja wychodziłam zamąż...

W sferze światła, bijącego od werendy, ukazały się dwa cienie rodzaju męskiego. Pani Adela ujęła spieszenie przez suknię brykle gorsetu, pasując się z niemi przez chwilę, aż doprowadziła kibić do kształtu obfitej gruszki; włosy ogarnęła palcami.

Tymczasem cienie zarysowały się bliżej i barwniej, a dwa kapelusze zawisły w ukłonach.

— Dobranoc państwu — odezwał się Adam Rewiatycki. Stary Jahwe musiał dziś zrobić dobry interes, bo wydaje wielki bal z iluminacją na niebie, a na ziemi ludziom dobrej woli wolno się upić miodem lipcowym.

— Ach, mistrz kochany! — rozśmiała się admiracyjnie dyrektorowa — nigdy go dowcip nie opuszcza.

Gimbut uśmiechnął się także, bo w sprawach literackich ufał znawstwu żony.

Drugi cień nie rzekł nic, zdjął tylko kapelusz i wsparł się pochyło na lasce, że zaś był nadmiernie wysoki, przekreślał krajobraz kształtem jakiegoś pnia we środku drogi, który podparto z obawy, żeby się nie przewrócił.

— Skąd to panowie wracacie? — zapytał Gimbut.

— Zawiadowca zaprosił nas na imieniny. Dużo ludu wszelakiego — paru starszych majstrów — demokratyzacja! Ja to wszystko muszę znać, — to się przyda. Były i panienki...

— Aa? były panienki? — podkreśliła dyrektorowa.

— O, bardzo porządne panienki.

— Po... o...rządne panienki! — zawołał długi towarzysz.

Skoro przemówił, poznali wszyscy, że jest mocno podchmielony.

— Idź spać, Celsjusz! — zakomenderował Rewiatycki.

Celestyn Łuba, kolos piśmiennictwa polskiego, powiedział tylko grobowo: „do — o — branoc“ i rzucił się w cień, który pokrył meandry jego odwrotu.

— Już chyba wszyscy pójdziemy? — rzekł Rewiatycki.

— My czekamy na nowych gości. — Jaby się jeszcze przesła po ogrodzie — zawołała ochoczo pani Adela.

Gimbut nie protestował, tylko zaznaczył, że on w każdym razie ma dosyć dziennych przechadzek, bo rozparł się jeszcze wygodniej w fotelu.

Ale pani Adela już zbiegła ze schodów werendy, okazała i fertycznie. Rewiatycki skłonił się przesadnie i zapytał:

— Czy ze mną?

Skinęła głową i przeszła go fosforycznym spojrzeniem. Skoro tylko oddalili się do krańców widoku, zawiesiła się na ramieniu mistrza:

— Czy Adachna ma w czubku? — zapytała pieszczotliwie.

— — — — —

Dominik Gimbut, pozostawszy sam na werendzie, tem swobodniej oddał się marzeniom. Jeżeli Gimbut marzył o szczęściu własnem, to czuł bolesny niedosyt, bo doszedłszy do progu starości źle jest oddychać nocą zbyt piękną. Niektóre uściski rozszalałej bachicznie Przyrody tak są przejmujące, że aż straszne dla każdego wrażliwego człowieka.

Taka była ta noc. Ogród, rozszerzony przez ciemność, oddalony znacznie od osady fabrycznej, dawał ujście i pole skrzydlatym wywiadom pragnień ku Przyrodzie rozłożonej w majestacie swej nagości, gotowej na wszelką rozkosz. Za ogrodem były pola dojrzałe, syte wilgoci łąki przy rzece Czarnej, poza niemi iglaste zagaje pnące się na znaczne wyżyny gór Świętokrzyskich. Kraj, pozbawiony barw o tej godzinie, dawał znać o sobie tylko symfonią zapachów. Przez róże i lipy przydomne, pachnące niby perfumy natarte, przelewały się szeroko wonie pól i łąk, niby emanacje ciała uśpionej driady, a z włosów jej, rozrzuconych po pagórkach, szły kadzidła żywiczne.

Noc była święteczna dla zmysłów. Tyle dostarczała ponęt, tyle zdrowego

tchnienia do płuc i podniety dla krwi krzyczącej, że mieszkańcy dworku dyrektorskiego czuli raczej pragnienie szczęścia i niepokój, niż dosyt i senność. Do wypicia czary rozkoszy, przychylonej do ust tak blisko, przeszkadzały jednak różne sprawy społeczne i prywatne, te więzy, które człowiek czuje zawsze na rękach i na sercu, nawet w chwilach szczytowych upojenia. Przeszkadzał górujący nad wszystkim nakaz pracy. I jakby przypomnienie tego nakazu, w miłosnej ciszy, ogarniętej symfonią zapachów, rozlegał się daleki poryk i poświst wielkich pieców, niby wyrok towarzyszący wygnaniu pierwszego człowieka z raju: „pracować będziesz w pocie czoła“.

— — — — —

Rozległ się blisko wesoły zgrzyt kół powozu u podjazdu z przeciwnej strony domu. Gimbut pośpieszył do drzwi głównych, przyjął w objęcia Tadeusza Sworskiego, a pannę Zofję Czadowską ucałował w obie ręce. Oboje mieli cerę niby kamienną, tak bardzo okrytą pyłem. Że jednak świeciły im się oczy radośnie, Gimbut odezwał się szczerze:

— Doskonale państwo wyglądacie!

Zapraszał na przekąskę natychmiast, z powodu późnej godziny. Ale goście jednogłośnie poprosili tylko o herbatę do swoich pokojów, bo jedli w podróży na stacji węzłowej, gdzie dłuższy postój wypadł w porze wieczery.

Wkrótce uciszyły się wszystkie w dworku gwary.



## 2.

Po paru dniach towarzystwo w Rudnikach, już zaprzyjaźnione, używało wakacji z zapalem i pośpiechem prawdziwych „letników“, wyszydzanych przez humorystów, a tak godnych współczucia, jako dusze i ciała schorowane miastem, powracające na lecznicze łono przyrody. Uprażenie się w słońcu rozwielnionem bez przeszkód, odpoczynek w cieniu drzew, sen pożywny przy otwartych oknach — to dobrodziejstwa wcale nie śmiesznie.

— — — — —

Tylko Dominik Gimbut nie należał do wypraw i przechadzek zwanych bezcelowemi, bo jego czynności, podobnie jak kierowane przez niego „wielkie piece“, nie wygasły nigdy. Tadeusz Sworski towarzyszył mu często w wędrówkach po grzmiących salach maszyn, przy ognistych „spustach“ roztopionego metalu, po nagich kancelarjach, po drogach przysypanych rdzawym żużlem i dymiących brudno różowym kurzem. Z tem większą lubością powracał następnie do pachnącego zacisza dyrektorskiego domu, wychodził do ogrodu i na szerokie pola. Wędrował z dyrektorem nie dla studjowania przemysłu żelaznego, którego technika mało go zajmowała, lecz dla śledzenia przyjaciela we właściwym mu ruchu, przy ulubionej pracy. Każdy człowiek jest przy swojej pracy najwyrazistszy, najdostojniejszy, najciekawszy do oglądania. Przytem praca Gimbuta, dozorcza i naczelna, pozostawiała miejsce na dłuższe rozmowy między przyjaciółmi.

Widząc, jakiego dyrektor używa miru i posłuchu u całej drużyny fabrycznej, jak rozkazuje stanowczo, lecz przyjaźnie, jak szanuje godność osobistą, lecz wymaga pracy, Sworski czynił uwagi:

— Masz tu dobranych ludzi, Domciu. Gdyby wszystkie nasze fabryki tak były urządzone, moglibyśmy gwizdać na zapowiedzi rewolucji socjalnej.

— A już tak, Tadeuszu. Od początku mego zarządu nie miałem ani jednego strajku w Rudnikach. Wprawdzie objąłem fabrykę dopiero po roku 1905-ym. Obcy agitatorowie mniej teraz nałazą, niż wówczas. A jeżeli wkrećą się jacyś, ja sam z nimi rozmawiam — i to w obecności robotników. Zresztą moi ludzie są zadowoleni. Podniosłem płace; założyłem kasy ubezpieczeń od przypadków i emerytalne; ograniczyłem godziny pracy małoletnich...

Gimbut wyliczał swe reformy z sumiennem zadowoleniem. Patrząc mu w oczy, Sworski zauważył, że mówi jak bogacz o swych dorobkach.

— To jeszcze z ciebie „socjał“, Domciu, jak to my dawniej?

— Tak mnie i nazywają właściciele: zamaskowanym socjałem. A ja im na to, że nie zamaskowany jestem, ale szczery. Szanuję prawa pracy i prawa własności. Jedne z drugimi pogodzić — ot i cała sztuka.

— Ale sztuka nielada! Udaje się tobie, może i kilku innym — naogół jednak nie jest tak idealnie. W warsztatach kolejowych, które długo oglądałem, będąc w biurach zarządu, niedobrze się działo — a i teraz podobno nie lepiej.

— Znaczy, że teraz już nie pracujesz?... tylko piórkiem?

Tadeusz, zamiast się obrazić, rozśmiał się przyjaźnie:

— Masz słuszność, Domciu. Praca „piórkiem“ mało przynosi owoców realnych. Nie jestem z mojej literatury zadowolony.

— Jaż nie mówię, Tadeuszu — cofał się dyrektor — żeby to nie była praca. Czytałem twoją powiastkę... jak to ona? — i twoje artykuły społeczne: o budowie wewnętrznej... o fałszywych prorokach... Prace piękne.

— Prace ze szczerem zamiarami. — Poczekaj — będą jeszcze inne. Jeszcze nie umarłem.

— Ot, gadasz! Wygląd, jak młodzieńca, parę tylko siwych włosów na skroniach. — Toż ty ode mnie młodszy o lat... pięć... osiem?

— Nie liczymy lepiej. Obaj jesteśmy młodzi, zwłaszcza ty, który pracujesz bajecznie i o przyszłości nie wątpisz.

— ...Tak, że masz znaczne zamiary autorskie — reasumował Gimbut zasłyszane wyznania. A jeszcze wiem, że zajmujecie się z panną Zofją — (tu zniżył głos i obejrzał się po drodze)...że prowadzicie nauczanie dzieci proletariatu. Ot robota ważna, pilna, bezpośrednia — a szczególnie w miastach i fabrykach, bo na wsi inni nieco robią. Ja też próbuję — tylko moja żona do takiej roboty niebardzo...

Sworski odpowiedział z zapalem:

— To nie moja akcja, tylko panny Zofji. Ona jest w tem mistrzynią, ja tylko przygodnym pomocnikiem. Upływa już lat dziewięć, jak ona, zaledwie pełnoletnia, rozpoczęła swą działalność wychowawczą, nawskroś polską, buntowniczą przeciw moskiewskim systemom i ukazom, która dzisiaj rozrosła się w ochronki, szkółki, stowarzyszenia. — I to wszystko krzewi się, kwitnie, wydaje owoce. Jak ona daje sobie radę z wrogimi władzami? Skąd dostaje fundusze? To cała misterna, z drobnutkich ok wiązana sieć do połowu dusz dziecięcych... A ona wykonywa to wszystko bez widocznego wysiłku.

— Dzielna niewiasta — odrzekł Gimbut — ja ją zawsze cenilem i, mogę powiedzieć — kochałem — od czasu naszego spotykania się na sesjach — tych, co to wiesz. —

Potem, nie patrząc Sworskiemu w oczy, dodał, niby mimochodem:

— A wy zawsze z sobą razem?  
— Razem i nie razem. Widujemy się w Warszawie, gdzie ona przebywa stale. Ale ja czasem podróżuję. — Nigdy nie tracę z nią ideowej łączności. Po raz pierwszy jesteśmy razem na wsi, pod twoim gościnnym dachem.  
— Bardzo rad jestem, że zgodziliście się przyjechać.

\* \* \*

Z innej strony, od pól, zdążała do dyrektorskiego dworu panna Zofja Czadowska w towarzystwie literatów: Adama Rewiatyckiego i Celestyna Łuby. Wysoka i smukła, w ciemnej sukni, pomiędzy jasno wyelegantowanym Rewiatyckim i wypiętrzoną w szarych łachmanach Celestynem, na tle pól złotorudych, wyglądała panna Zofja mistycznie, jak wizja Jacka Malczewskiego niespodziewana, niejasna, ale przejmująca zadumą. Rzekłby jeden, że to Polska żałobna między Weselem a Troską; drugi — że Cnota między dwoma łotrami.

Po pierwszych paru dniach znajomości Rewiatycki zdążył już napisać trzy wiersze do panny Zofji, które ułożył w tryptyk. Pierwszy nosił tytuł Hageia (święta), drugi Sofia (mądrość), trzeci właśnie przed chwilą zadeklamował, a miał to być środek tryptyku i nazywał się Eros. Poeta czekał teraz na pochwałę.

— Ślicznie pan pisze — rzekła panna Zofja swobodnie — tylko mi się nie widzi, żeby ten ostatni wiersz był w tryptyku na swem miejscu.

— Bezwarunkowo — orzekł Celestyn, skłonny całą swą istotą do potakiwania pannie Zofji.

— Nie z tobą mówię, tylko z panią — odparł Adachna. Więc pani sądzi, że to do tryptyku na nic? Rozbijam tryptyk! Ale trzy odłamy pozwolę sobie rzucić do Jej stóp. Niech je podepce.

Wykonał gest teatralny z przejściem, ale i z dostateczną zaprawą humoru, aby się nie stać natrętnym. A panna Zofja, wcale nie zakłopotana, zaczęła mówić, nie odpowiadając wprost na patetyczną ofiarę, uśmiechnięta uprzejmie:

— Dziwna to rasa poeci. Pisze pan wiersze o mnie czy dla mnie, jak słyszę, a we mnie niema tych rysów, które pan tak poetycznie wyogromnia. Anim tak bardzo święta, ani mądra...

— Pa — ani! — wydał stłumiony okrzyk Rewiatycki, oczyma domawiając luby protest i uwielbienie.

Zwrot jasnych oczu Zofji ku poecie zgasił odrazu jego wyraz twarzy zuchwały. Mówiła dalej:

— Co zaś do trzeciego wiersza, to już go pan wysnuł całkowicie z wyobraźni. Jeszcze mnie pan nie zna; gdyby mnie znał, nie napisałby. Niech się pan spyta Tadeusza Sworskiego.

— Ach, Sworski! — jęknął Adachna i zaakcentował maskę rozpacz.

— Znowu fałszywy kierunek, panie Rewiatycki! Ze Sworskim jesteśmy krewni, mamy wspólne cele, które nas łączą. Wiecie co, panowie? (zmieniła obcesowo rozmowę) — rwijmy jeszcze kwiaty, bo zebraliśmy za mało.

— Niechże mnie choć te kwiaty nagrodzą! — zawołał Adam zagadkowo, bachicznie, z łezką, z goryczką — pragnął bowiem już wybrnąć z nieudanej konwersacji.

A panna Zofja dodała z dobrym uśmiechem:

— Proszę mi jednak przepisać te wiersze. Takie są dźwięczne i wybujałe. — Mogę je mieć u siebie, bo nikt nie uwierzy, że były do mnie pisane.

— Wszelkie rozkazy pani są dla mnie prawem — odrzekł tylko Rewiatycki.

Po chwili zawołała panna Zofja, wskazując ręką:

— Patrzcie, jaki tam wspaniały krzak rumianku! — za rowem, pod pszenicą.

Krzak był po stronie Celestyna. Olbrzym wysunął sprężyste dolną kończynę, która go zaraz przeniosła za rów i w paru susach znalazł się przy rumianku, wyrwał krzak z korzeniem i ociekający sypką ziemią ofiarował pannie Zofji. — Dzień był dla Adachny feralny: tu znowu zwinnego kawalera uprzedził niezgraba Celestyn. Ale już o tem niepowodzeniu nie skomponował poeta elegji; zaczął tylko bystro wypatrywać rumianki, kwitnące groszki i inne kwiatki i znosić to wszystko, dokładnie oczyszczone, do rąk „ciemnej pól bogini“.

Gdy weszli już do ogrodu przy dworku, panna Czadowska usiadła z przyjemnością na ławce po długiej przechadzce. Ale Adachna oświadczył, że musi się przebrać do obiadu, gdyż był ubrany w jasny strój tenisowy, bez kamizelki.

— To niech pan zanieś kwiaty do domu, proszę.

Podła mu duży snop, który on przycisnął do serca i do twarzy, jakby chciał ukraść kwiatom trochę ciepła pozostałego od postaci Zofji — i nie powstrzymał się od podbójczego przez kwiaty spojrzenia. Ale panna Czadowska odwróciła głowę. Adachna oddalił się w rytmicznych lansadach.

Celestyn pozostał i sterczał obok ławki.

— Pan nie siada? Przecie my nie przebieramy się do obiadu.

— Siadłbym...tylko ta ławeczka, jak dla dzieci.

Panna Zofja rozśmiała się. Celestyn ją bawił i zajmował. Odgadywała w nim utajone duchowe curiosa. Dowiedziała się już zresztą, że był gdzieś tam profesorem literatury indyjskiej.

— Niech pan siada! — Przecie i ja jestem długa — no, nie taka jak pan — ale siedzę wygodnie.

Łuba usiadł w przyzwoitem oddaleniu od pięknej sąsiadki.

— Rewiatycki ma talent? prawda? — zapytała panna Zofja.

— Oo! — rozmachiwał rękami — Rewiatycki?! — pogładził wzdłuż półłokciową brodę — taak, bez wątpienia.

— To przyjaciel pana?

Celestyn wykonał znowu szereg ogromnych poruszeń ramionami i twarzą, młodą jeszcze, której fałdy chodziły jak fale i zmieniały co chwila wyraz pięknych choć zmęczonych oczu. Pasował się widać ze słowami, nie przychodzącymi na zawołanie. I rzekł wreszcie, jakby zniechęcony:

— Tak... przyjaciel.

Zofja, po krótkim namyśle nad powodem tak trudnego szukania najprostszycch wyrazów, zagadnęła o co innego:

— Chciałabym poznać coś z pism pańskich, a przyznaję się ze wstydem, że nie czytała. Pan się specjalizuje w literaturze indyjskiej? To ciekawe.

— Pisało się, gadało... to są... studja.

— A nie można tego dostać?

— Co tam było — wyczerpane, przepadło. I dobrze, że przepadło. Ja jeszcze dla pani napiszę.

— Coś w rodzaju, jak Rewiatycki?

— A, uchowaj Boże!

Celestyn wzniosł obie ręce, jakby do przekleństwa, brodą wionął w stronę, a z twarzy stał się podobnym do oburzonego Mojżesza, który strąca ze skały tablice przykazań.

— Czy to tak oburzające, co tamten napisał? — pytała panna Czadowska ze szczerem zaciekawieniem.

— Jakżeż?! — do pani pisać wierszyki? — drumli-brumli — tidiritkum to i owo... Święta Zofja z Carogrodu i Eros z kawiarni Michalika?! — Sacrilegium!

— Ależ pan surowo sądzi swego przyjaciela! — śmiała się panna Zofja.

— Nie, bo cóż to za żarty! — perorował Celestyn, uniesiony gniewną wymową. — Wara od podawania pani słów wytartych, przez plugawy użytek sprofanowanych! Trzeba uderzyć się w pierś (gruchnął się rzeczywiście pięścią w pierś, aż jękał) — i wołać pokutnie: nie jestem godzien. — A gdy się już odważyć na mówienie, to od duszy do duszy.

Panna Czadowska spoważniała, gdyż dziwaczne zdania Celestyna tchnęły szczerością, dźwięczały właśnie głosem duszy. Nie pragnęła jednak wysłuchać drugiego dzisiaj wyznania uczuć męskich, choćby w innym, sympatyczniejszym stylu. Wtrąciła zatem uwagę oziębłą:

— Pan pewnie także pisze wiersze?

— Piszę... pisałem. — Ale niegodne.

I przygasł, zasępił się, jakby stracił promień, który mu rozgrzewał duszę. Rwane jeszcze rzucał wyrazy, ułamki dużego rojenia:

— Bo ja poznałem panią. — Tylko jakazby mnie śmiałość? Jakże mnie przed panią?... Bo cóżem ja? — łachman ludzki. Ale ona, wiosna, która jest szczęściem sobie i szczęściem przyszłego wieku... Maja — panna, z której urodzi się Manu — Nadczłowiek, Zbawca...

Zamilkł na dobre. A pannie Zofji przyszło do głowy, że może uraziła dobrego i wrażliwego człowieka. Ale nie wiedziała, co uczynić, ani co mu powiedzieć, bo to, co mówił, było napoły niezrozumiałe.

Celestyn powstał z ławki i, nie przystępując bliżej, zdobył się na jedno jeszcze zdanie:

— Wielka Pani! proszę mnie pobłogosławić... zdaleka... ręką.

Sam podniósł rękę ogromną, błogosławiącą zwysoka, i zdarł z głowy pomięty kapelusz. Niepokojący był i godzinien litości. Prosił, a zarazem nakazywał wzrokiem błagalnym.

Panna Czadowska nie była płochliwą dziewczeczką i zgadywać potrafiła ludzi. Tu zrozumiała, że po< winna uczynić to, o co prosi ten człowiek. Wyciągnęła więc rękę naprzeciw dłoni olbrzyma i rzekła:

— Jeszcze Bóg da panu ukojenie, panie Celestynie.

On przymknął oczy, a twarz mu zajaśniała wewnętrznem rozpromienieniem. I odszedł wielkimi krokami, kołyszac się, jak sosna pijana.

### 3.

Stosunki sąsiedzkie między Linowskimi z Inogóry a rodziną dyrektorską z Rudników były dosyć rzadkie, jednak oparte na wzajemnem poważaniu. Tego lata pan Władysław Linowski, prezes okręgowy Towarzystwa Rolniczego, odwiedził Gimbutów w Rudnikach, jednak bez żony, która się wymówiła słabością, nie pozwalającą jej na dalsze przejażdżki. Ale z tego właśnie powodu wynikła dyskusja między małżonkami Gimbutami: w jakiej mierze oddać grzeczność towarzyską Linowskim?

Pani dyrektorowa postanowiła nie jechać do Inogóry, gdyż pani Wela (Ewelina) Linowska nie uznała za stosowne wybrać się do Rudników z wizytą, a mogła, skoro przeszłej niedzieli widziano ją w kościele.

— Ot, wymyśliłaś, Adelciu! Hrabinie strzeliłoby do głowy kogo obrażać? Ona piechotą przyszlaby, gdyby nóżki pozwalały. Niewiasta przecie skora do towarzystwa.

— Mogliby wybrać dzień, kiedy pani Wela czuje się lepiej. Przecie jeździ po okolicy kucami. — — I nie wiem poco, Domciu, nazywasz ją hrabiną, kiedy Linowscy nie są hrabiami?

— Wszyscy ją tak nazywają. I z domu hrabianka i Linowscy dom starożytny. Niema śmieszności. A tobie jakich trzeba hrabiów? Trzypałkowskich? Może oni „tatarscy hrabiowie“, jak Birbasz z „Pana Tadeusza“?

— Trzypałkowscy mają tytuł austriacki potwierdzony — odrzekła pani Adela z wyższością i niejaką urazą, gdyż Trzypałkowscy byli z nią spokrewnieni, a ona sama była z domu Górczewska, z rodziny, wyprowadzającej się według legendy od hrabiów Górków.

Gimbut śmiał się jowjalnie ze swego konceptu, a inni zaś z faktu, że dyrektor dyskutuje o tytułach, które go obchodzą, jak śnieg przeszłoroczny. Na szczęście nikt nie zapytał o inne nazwiska, czy należą do „dobrej“, czy do gorszej szlachty. Minęło więc niebezpieczeństwo wybuchu tej najpospolitszej w Polsce rozmowy, grasującej we wszystkich warstwach, nawet nieszlacheckich, które się z lubością informują o zawikłanej hierarchji rodów i o ich tytułach, prawie wszystkich nadanych przez obce i wrogie rządy.

Dyrektorowa uparła się i postanowiła nie jechać.

— Zatem kto pojedzie? — pytał Dominik — żebym wiedział, jak mam kazać zaprząć?

— Jaby pojechała — rzekła panna Zofja.

Sworski oświadczył, że odnowiłby chętnie znajomość z Linowskim, którego

dawniej widywał.

Zapytany Rewiatycki odpowiedział, jak zwykle, niepospolicie:

— Każdy nowy człowiek daje mi swego literackiego dukata, czy chce, czy nie chce. W Inogórze spodziewam się dużego połowu...

— Czyli zatem — przerwał Gimbut — pan z nami?

— Jeżeli można? — wdzińczył się Adachna do Gimbuta tak przymilnie, jak do panny.

— Jakże nie można? — proszę. A pan Celestyn? Łuba włożył się nieopodal, zgarniając brodę, którą wietrzyk wbok znosił. Zatrzymał się, wyrwany z jakiegoś snu na jawie:

— Ja? — — Jestem.

— Czy pan chce jechać z nami do Inogóry?

— A, uchowaj Boże! — odrzekł, wznosząc ręce, które dotknęły koron lipowych — ja i arystokracja?!

— Co tam arystokracja? Zacni ludzie, sąsiedzi. — Z panią możesz pan i o Mahabaracie — śliczna kobieta.

Gimbut, modą litewską, stosował przymiotnik „śliczna“ do duszy pani Weli, chociaż i w zwykłym znaczeniu przymiotnik był stosowny. Ale Celestyna nie zdołano zachęcić. Skrzywił twarz błagalnie:

— Nie lubię...

— Zatem — rzekł Dominik — we czworo zmieścimy się w koczku..

\* \* \*

Ma coś królewskiego w sobie biesiada w zasobnym polskim dworze.  
Królewskość.....